



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy

Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

SZKOŁA.

Kant nazwał wychowanie szkołą życia i tak jest niewątpliwie. Przez przekonania, które wszczepia, przez nawyki, które daje, przez kierunek umysłowych i serdecznych skłonności, które może zwinąć lub rozwinąć, wychowanie jest wstępą nauką życia i w bardzo ważnej części tak o niem stanowi, jak szkoła o uczniu. Człowiek przecież nie jest istotą skończoną; zdolność doskonalenia się lub psucia, przeobrażania duchem, nie kończy się u niego z tą chwilą dojrzałości fizycznej, która zwykle okres wychowawczy zamyka. Uczymy się do śmierci, wiedza złego i dobrego dostaje nam się do tej ostatniej życia godziny, i aż do tej godziny ostatniej zmieniamy się sercem i umysłem. Śmierć daje nam dopiero skończoność ziemską; poprzednio każde wczoraj uczyło dziś nasze, jak każde dziś staje się dobrą lub złą nauką dla jutra, które po niem przychodzi, i ztąd też ten, kto jest mądrym dopiero po szkodzi, należy do rzędu ludzi, którzy się od przeszłości swojej dobrze uczyć nie umieli i wobec wypadku szkodę noszącego, nie potrafili znaleźć się należycie: nie obronili się nieszczęściu, nie wybiegli się przed stratą. Rozum biorący od przeszłości ziarna swoje byłby przecież łatwiejszym do osiągnięcia, gdyby zdarzenia wielkie, wyroczne, następowały wkrótce po sobie, gdy pamięć strat, cierpień, goryczy, którąśmy pili, świeża jest jeszcze, gdy wrażenia jeszcze się nie zataryły. Ale nie bywa tak nigdy dla życia żadnego ani jednostek, ani społeczeństw, bo chwile wielkie powstają ze zbiegu chwil małych i są ich skutkiem połączonym, ich wykwit, który w danej godzinie—w godzinie dojrzałości, z obsłon pąkowania swego wystrzeliwa i koronę rozwija. To też tak losu człowie-

ka, jak dziejów ludzkości nie piszą momenta, epokę stanowiące, ale dni powszednie, te ogniwa z łańcucha czasu, atomy historii, atomy żywotów ludzkich. Jest to również szkoła dla wszelkiej mądrości, dla wszelkiej sztuki, wszelkiej umiejętności ludzkiej—szkoła życia. Dni powszednie uczą nas wszystkiego, co nam umieć trzeba, wszystkiego, co umieć pragniemy, i nikt gdzieindziej nie nauczył się tego, co pokazało się, iż potrafi. Dobre i złe jednak z tej szkoły wychodzi: jak nikt odrazu znakomitym, na przykład malarzem, chemikiem nie będzie, tak każdego przymiotu, każdej siły nabywać trzeba z dnia na dzień. Lekcyja po lekcyi zostaje nam zadawaną co dwadzieścia cztery godziny, a od tego jak je w kolej wydawać będziemy zależy summa wypadkowa postępu, która się pod dolną kreśką czasem podpisze. Nic na nas nie spłynie samo przez się jak rosa niebieska, nie dostanie nam się jak manna w pustyni, z głębi naszego ducha, jak Minerwa z głowy Jowisza, skończonym i doskonałym kształtem nie wyskoczy. Nawet enota każda nauki potrzebuje: miłość bliźniego, dobroć serdeczna, uczciwość sama musi być przez lekcyę codzienną—codzienną praktykę nabywana, aby jej nagle nie zbrakło w momentach ważnych, wielkich, stanowczych, gdy spór o *moje* i *twoje* zawrze, namiętność się rozbudzi i pokusą na nas uderzy. Kto się w powszednich sprawach żywota, w sądach i postępkach codziennych, maluczkich, przelotnych, do ścisłej sprawiedliwości nie zaprawi, ten łatwo przy starciu interesów ważnych uczciwym być przestanie; kto natury swojej, swego temperamentu do łagodności jako nawyki moralnego, jako stałego stanu ducha nie włoży, ten czyż oprzeć się potrafi, aby oburzenie jakieś nie przemieniło się w passyę gniewną, która w miejsce dobroci srogość, okrucieństwo, niemilosierdzie podstawia, a wrodzony egoizm prędko wśród sporu miłość bratnią człowieka dla człowieka na bok odsunie, jeżeli sobie ustępstw, poświęceń, ofiarności w biegu życia powszedniego jako moralnego prawa nie nakazywał?

I tak się dzieje z całą naszą istotą moralną, nie dla tego, aby wyrobienie jej etyczne potrzebowało stać się nałogiem, rutyną, stężeniem ducha w formach pewnych, bo w godzinie prób, w godzinie doświadczeń, sprawdzianem charakteru naszego będących, pęka prędko ta licha, krucha zbroja, ale na wszelką wysokość musimy się dostawać po stopniach pewnych i choćby to było anielskie na skrzydłach lecenie, trzeba nam lotowi temu dać kierunek, który z dołu ku górze idzie i, prawu kolejności ulegając, coraz wyższych sfer sięga, a każda wielkość ziemską dorostu potrzebuje, każda siła w ćwiczeniach się rozwija, gimnastyki jakiejś wymaga, aby dosięgnąć zenitu potęgi swojej. Stokrotnie powiedziano, że człowiek nie jest ani zwierzem, ani aniołem, ale ma w sobie żywioły anielsstwa, obok żywiołów zwierzęcości w stanie zarodków złożone. Istnieją one w człowieku pierwotnym pod postacią porywów, skłonności, mocy ślepych, które gdy do działania wystąpią, muszą się potracić, uderzać na siebie i zamęt, chaos nie tylko w głąb jego własnego ducha, ale w stosunki z innymi ludźmi wprowadzać. Czemu człowiek mniej jest jako charakter wyrobiony, tem stopień tego nieładu jest w nim wyższym, a on sam tem zmienniejszym, tem mniej stałym i jednolitym w postępkach i uczuciach, mniej moralnie odpowiedzialnym, i ani nikt za niego, ani nawet on sam za siebie ręczyć nigdy nie może, bo nie wie jak się w danych okolicznościach jego wewnętrzne *ja* znajdzie, co mocniej w głębi jego ducha zapanuje. Wychowanie, urabiając istotę młoda w kierunku jakimś, działając na zanikanie popędów, instynktów jednych, rozwijając inne, podstawy charakteru nam daje, szkoła życia czyni resztę: posąg ducha ludzkiego kształtuje...

Dni powszednie, to kolejne dłużej uderzenia: dają formę członkom, oblicze, rys po rysie wykuwają. Czy ma powstać potwór, czy piękność według szlachetnej modły ludzkości wykonana, one się na to składają, one to czynią, i choć nam się wyjątki od tej reguły często w świecie przedstawiać zdają,

wyjątkowość to pozorna, nawet w sferze tej wielkości, która jest pobyttem geniuszów. Prąd duchowego życia idzie nieraz głębią taką, że go nie widzą oczy świadków obok stojących i często jest słusznym wykrzyk poety: — „Kto mnie chce sądzić, we mnie musi być, nie ze mną!...“ ale niemniej życie owo musiało istnieć, istotę naszą nieustannie zasilać, w wyższym, czy niższym stopniu nateżenia nieustannie działać, aby potem dla jakiegoś potężniejszego czynu moc sobie nagłe znaleźć mogło, ujawniło się jako siła płodna. Często my sami nieświadomi jesteśmy tajemnego rozwijania się w nas potęgi jakiejś: dobrej czy złej; nie widzimy z czego sobie codzienny pokarm czerpie, czem ją w sobie codziennie ćwiczymy, aby wzmagala się, wielmożyła, do wszechwładztwa nad duszą naszą doszła.

Nie się to nie sprzeciwia ani nauce religijnej o łaskę Bożej, ani instynktownemu, odwiecznemu poczuciu jej przez człowieka — wrodzonej i jak ludzkość starej wierze w natchnienie z góry idące. Bo wszakże na łaskę Bożą trzeba sobie zarobić, trzeba ją sobie przez praktykę zasady moralnej; przez dobre uczynki zdobyć — duchowi człowieka trzeba się ku górze podnieść, ku duchowi Bożemu jak płomień do płomienia wyciągnąć, aby spotkanie nastąpiło, natchnienie zeszło z nieba na ziemię. Sama wiara na to nie starczy, wiara, która w odosobnieniu od miłości i nadziei jest martwą. Trzeba jej dodać czyn, trzeba jej żyć wspólnie z nami w znojach i trudach żywota, aby promień cudowny nad nami rozblęsnął i językiem ognistym spadł na czoło. Gdy w pierwszych wiekach chrześcijaństwa umierał męczennik, niechęcący bogom fałszywym ofiary złożyć, stawał się przy zgonie jego cud: z tłumu pogan występowały rzesze, miłością wielkiej prawdy rozpalone i za pośrednictwem zbawionego ducha, który łaskę rozciągał, biegły ochotczo w ogień, w wodę, pod narzędzie tortur katowskich, lecz każda historia takiego cudu wykazuje nam, że te dusze nagłem dotknięciem błogosławionego natchnienia nawrócone, były to dusze istot czystszych, szlachetniejszych od zgrai zamaterializowanego tłumu pogan, życiem poprzedniem — szkołą dni powszednich — przygotowane do przyjęcia wysokiej idei chrystyanizmu — już zbawione przez ducha własnego, którym brakowało tylko zbawienia przez ducha Bożego: chrztu łaski poświęcającej.

I nigdy natchnienie żadne nie przychodziło drogą inną: świętość, geniusz, bohaterstwo, wielkość ofiarnicza — wszelki poryw nagły do czynów zasługi wyższej, odwagi, męstwa niezwykłego, wytryskał zawsze z piersi szlachetnej i przygotowanej do tego choćby w skrytości, choćby cicho i tajemniczo. Gdy naprzykład wieśniaczka Lotaryńska, pastuska z Dom-Remy, słysząca o zaborze angielskim ojczyzny swojej, żałośnie woła: — „O! czemużście nie powiedzieli mi dotąd, że Francya tyle cierpi!“... daje w tem dowód, że istota jej przebywała już w kręgu myśli i uczuć innych, niż gromada ludzi, obok niej żyjących, że wielka miłość Francyi gorzała już oddawna w tem sercu dziewicy, rozmawiającej z głosami świętymi w gaju samotnym i nie wiedziała tylko, że ofiara za Francję potrzebna jest w tej chwili. Brakowało jej jedynie wiedzy tego, a zresztą była już gotowa: miała na wielki swój czyn bohaterstwa wszystko, co do tego było potrzebnem w niej samej — miała miłość, odwagę, siłę zdolną wziąć sobie to, czego jej do zewnętrznej strony rzeczy braknąć mogło, miała to wszystko! Zabiera sobie hełm i pancerz rycerski prawem wiary głębokiej w posłannictwo swoje; wie gdzie jest ukryty miecz, cudownie działać mający; zna słowo tajemnicy, które zwątpiałe serce Delfina Francyi podniesie i nadzieją napełni, ma nawet przecucie stosu, na którym ofiary dokonana — wszystko już posiada, w cichości ducha swego zebrane i tylko sięga do tych zgromadzonych materiałów cudu, jak bogacz do skarby swojej, i skoro wybiła godzina, skoro iskra zapala na serce jej padła i rozplomienia je, chwytając w rękę upadły sztandar Francyi i, zalewając się łzami rzewnymi, woła: — La France! la France!

Jak codzienne przebywanie w sferach wyższych uczuć i myśli ducha zwolna podnosi i uszlachetnia, jak codzienne pełnienie cnoty w zakresie jej obowiązków, choćby drobnych, wyrabia w nas przy-

mioty, na jakich gruntuje się niezachwiana zaćność i dostojność charakteru ludzkiego — siła, która w okolicznościach pewnych wspaniała i wielkoduszna się staje: tak naodwrot malejemy wśród otoczenia małego, w ciągłym uleganiu wrażeniom niskim i pospolitym zatracamy pojęcie szczytności, ukochanie rzezy górnych, ideałów podniesionych. Jak można zepsuć sobie smak artystyczny, tak można nieznacznie zepsuć smak moralny, zmysł etycznego wzroku osłabić i zniżyć, poczucie moralnego piękna stępić. Każdy wie, że kształcimy się estetycznie przez poznawanie areydział prawdziwych, przez poznawanie sztuki wyższej, która nam wspaniale piękno przed oczy stawia i wrażeniami, ztąd powstającymi, na nas działa. W tym-to celu tworzymy sobie przy szkołach sztuk pięknych zbiory okazów piękna: w tym celu odbywamy wędrowki do miejsc dalekich, gdzie oczy nasze spotykają się z pięknnością jeszcze niewidzianą, niepoznaną jeszcze. Życie wiedzie nas podobnie przez galerie albo pełne obrazów, posągów, szlachetnie pięknych, albo przeciwnie przedstawia nam rzed przedmiotów lichych, nędznych, naturę skarykaturowaną, ideał sponiewierany i zaostrza to w nas lub tępi zmysł, który etyczną piękność uznawać ma lub zapoznawać. A niema bezkarnego sojuszu ze złem lub małym, z pospolitem lub niskim: gdy dla jakiegobądź względów dogodności przystajemy na przebywanie, obcowanie z niem, już to nam szkoda nie przez to tylko się staje, żeśmy ustępowaniem takim coś z podniosłej dostojności ducha utracili: nieobradowane, obliczyć się niedające zło, ze złych wrażeń powstać mogące, czycha na nas i nie wiemy sami: czem nam jasny wzrok moralny zaćmi, czystość ducha pokala, spokój jego zamąci, jakie niskie instynkta w nas rozbudzi, jaką słabością nas skrepuje? Czy przypuszczał Samson, z Dalilą się łączący, sen jak śmierć nieczuły i nożyce fatalne, które z mocarza w nędzarza go przemieniły? Takim jest wszelki pakt z tem, co jest nas niegodne; w dumie wyższości naszej mówimy sobie, że my nad nim a nie ono nad nami górować będzie, ale są dołki pod nogami tytanów przez przebiegłe karty kopane: jest nawyknie nieznaczne do rzeczy, od których ze wstrętem odwracamy się zrazu i głęboko prawdziwą, głęboko filozoficzną jest bajka francuzka: *La belle et la bête*. Tylko że w życiu, gdzie o cuda nie łatwo, potwór zwierzęcy, którego piękna pokochoa przez nawyknięcie, przez potrzebę przywiązania serca do czegoś, nie rzuci nagłe skóry ohydnej, aby się zaklętym królewicem pokazać. Stare przysłowie: Z kim kto przestaje, takim się staje, sprawdza się na każdym człowieku, który spokojnie i uległe przystanie na życie w nędzy moralnej pędzone, i choćby jeszcze w duszy ideały szlachetne zachował, choćby warował to sobie, że się w danym razie nad poziom dzisiejszości swej wyrwie, nikt ręczyć nie może zali kiedyś już tego zechce, zali kiedyś już to potrafi, bo wielkim jest dla ducha wpływ raz obniżonej skali życia. Można jeszcze wysokim pięknościom hołd pokorny składać, a nie umieć już obejść się z niemi, i jak człowiek, który od pewnego towarzystwa odwykł, stracić do nich śmiałość, czuć się między niemi jakgdyby nie na swoim miejscu, czyli doznawać uczucia niższości, uczucia karzącego zawsze tych, którzy z niskimi stale przebywając, nagłe do wyższości jakiejś przystąpią. Uczucie to jest tak bolesne, tak swobodę ducha odbierające, tak niewygodnie krepujące całą istotę naszą, że najczęściej uciekamy przed niem tam w dół, gdzieśmy być już przywykli, gdzieśmy się już do miejsca i otoczenia tak urobili, że nam nic w niem nie przeszkadza, nie ciąży, nie nad nami nie panuje i nieproporcjonalną wielkością swoją nas nie przytłacza. Odwykamy od wchodzenia na góry, od przebywania na miejscach wysokich i tchu nam brakuje, czujemy, że powietrze to już nie dla nas.

Gdy tak źle jeszcze z nami nie jest, gdy jakaś wielka chwila nami wstrząśnie i z nędznego otoczenia, z lichu pędzonego życia nas wyrwie, pragnienie wyższości nagłe obudzi, cele wysokie ukazuje i przez miłości, któreśmy na dnie serce zawsze nosili, przez ukochania wierne, które pod naleciałościami życia drzemały, ku górnym, szlachetnym szlakom nas skieruje, wzgardzona, zostawiona w tyle przeszłość podnosi się wtedy przeciw nam, jak Nemezys mściwa i furey swe za nami wysyła, aby

nas wężami bieżów swych srogo siekły. Zdolności do dobrego czy złego tak w nas zanikają jak organa wzroku u istot w ciemności przebywających; atleta, który się długo z równym sobie siłaczem nie próbował, może wśród podjętych znów zapasów uczuć nagłe, że osłabł, że dawniejszej sily, zręczności, dawniejszej zwycięzkiej potęgi już nie posiada. Mamy w języku naszym wyrażenie na taki stan nieszczęsny: zależyć pole, znaczy przez zaniedbanie się leniwe ze zdolności posiadanych wyzuć, zniedołężnić i jest to karą okrutną za pogardliwie lub lekkomyślnie niezważanie, jakimi są te dni nasze powszednie, które wśród grunt życia, podwalinę jego stanowią. Zachowujemy najlepszą część istoty naszej na rzeczy szczególnie ważne, nadzwyczajne; wtedy zamierzamy działać, pracować, poświęcenia czynić i nagłe, stawając przed ołtarzem ofiary wysokiej, uczuwamy się niezdolnymi do pracy, do poświęcenia... Przeszłość-to przeszłość nas skrepowała, skula podstępnie, obciąża nam cichaczem włosy olbrzyma i teraz oto ból, żal, hańba ciężka staje się udziałem istoty poniżonej. Istnieje w literaturze świata nieobliczona ilość parafraz dokonanych z hiszpańskiej przypowieści o wodzu, który wielką walkę dla tego przegrał, że słabo przynitowanym był gwoźdź w podkowie jego konia. Gwoźdź ten łatwo obluźowany, wyleciał, podkova oderwała się i okulawiony rumak bojowy padł nagłe pod rycerzem... Tak nieraz padał człowiek w wielkiej chwili życia przez drobniańską niemoc, gdzieś w rymsztunku jego nieszczęście zostawioną. Gdy ciało jest mdłe, można mimo chętnego ducha zaspać na Górze Oliwnej i nie wydołać w czuwaniu z Chrystusem, którego krwawy pot oblewa. Słabość licha, w dniach nieopatrznej przeszłości nabyta, może nas nagłe pod maluczką, potulnie nie nieznaną, postacią zaskoczyć, z posterunku ściągnąć, z drogi wytkniętej sprowadzić — i lud nasz ma na to gadek niemało. Chciwemu na dobytek szatan się głosem zabłąkanej owcy z moczarów odezwie, czulemu na płochą piękność zamigocze wśród lasu rusalka: i oto droga do obowiązku zmyloną, wielka godzina zakwitnięcia kwiatu paproci straconą została...

Dlatego-to w pacierzu codziennym modlimy się do Boga prośbą Chrystusową: nie wódz nas na pokuszenie! abysmy co rano i co wieczór pamiętali, że są pokusy w biegu powszedniego życia, w wykniach jego drobnych na nas chytrze zaczajone, które się mogą nagłe w straszny, rozpaczliwie tragiczny sposób wtedy odezwąć, gdy całą siłą duszy swojej pragniemy być jak dyament mocni, jak dyament w świetlanej przejrzystości swej czysci.

(Dokończenie nastąpi)

ANTONI MALCZESKI

przez

Władysława Chodzkiewicza.

(Dalszy ciąg).

Malczeski miał wówczas lat dziewiętnaście, a w tym wieku i w te u nas czasy nie potrzeba wcale szukać innej przyczyny jego wstąpienia do wojska nad tę, jaka spowodowała cztery lata przed tem jego przyjaźniela, Będowskiego, do zaciągnięcia się w szeregi ojczyzny. Uczucie bardzo szlachetne, ale bardzo naturalne i proste służenia jak inni w potrzebie, chęć tak wrodzona młodemu chłopcu nosić piękny mundur wojskowy — oto zapewne pierwsze i główne powody tego nagłego postanowienia poety.

Nie przeczę, że jest to może mniej poetyczne i mniej malownicze, niż owe „namiętne zakochanie się w Annie i owa nadzieja, iż tym sposobem usunie trudność wynikającą z nierówności majątków?.. i że zasługami wojskowymi dobije się ręki kochan-

wił we Włoszech, a najdłużej we Florencyi, że się poznał w Wenecyi z dwoma Anglikami, lordami: *Oswaldem* (?) i *Byronem*, że tam się odezwał w nim geniusz *pobratymczy* (?) *Byrona* i że przez niego duchem poezyi natchniony został.

Ala w 1850 roku pani Rucińska była już wiekową kobietą, a z układu i wyrażen tego listu widać, że go nie ona sama pisała i że pióro jakiegoś *Berdyczowskiego* literata, musiało przyjść w pomoc jej pamięci i wspomnieniom o *Malczeskim*. Bo cóż znaczy to wyrażenie, że natchniony został duchem poezyi? Mój Boże! gdyby to rzecz była możliwa, każdyby z nas z ochotą poddał się takiej operacyi. Wszystkie te więc wiadomości są mdłe i niepewne... Jeżeli *Malczeski* podróż po Włoszech odbywał razem z księżną *Lubomirską*, to łatwo zrozumieć, że, poetyzując swe życie na jawie i w czynach, nie miał potrzeby wędrować do tych zaczarowanych krajów, które *Gothe* nazywa: *Dichter's Lande*, krajem, jakby ojczyzną poetów. A jeżeli tę podróż odbywał sam jeden i po zerwaniu tych drogich więzów, to mu serce musiało się nadto jeszcze żywo i boleśnie krwawić, aby tę boleść, prawdziwą i wielką, pragnął i mógł rymować wierszami.

Z tych długich podróży wrócił nakoniec do kraju, na Wołyń, ale mylnie się wyraża generał *Załuski*, kiedy powiada w swym liście do p. *Turowskiego*: „że *Malczeski* nie miał już z czego się utrzymać”; bo, jak zobaczymy to później, trzymał on najpierw jakąś wioseczkę w *possessyi*, a potem miał jeszcze pewien kapitał w ręku *Alexandra Błędowskiego*.

Przytoczony wyżej list pani Rucińskiej daje nam o tem pewniejsze szczegóły i stanowi jakby wstęp do tej drugiej i ostatniej części życia *Malczeskiego*, w której ona sama odegrała tak ważną i tak smutną rolę. Jakkolwiek redaktor *Berdyczowski* ostrożnem przepisuje piórem to, co mu powierzyła niezbyt wiarna pamięć pani Rucińskiej, prawda jak oliwa na wierzach wychodzi i łatwo jest wyczytać wszystko, co się ukrywa pod naprzód obmyślonym obrotom języka.

W liście pani Rucińskiej jest cała historia ostatnich lat życia *Malczeskiego*. List ten maluje nam dokładnie postać kobiety, którą fatalny los zespolił z człowiekiem, co był uderzającym przeciwieństwem, pod każdym względem, jej usposobień fizycznych i moralnych.

List ten, pisany we 24 lat po śmierci *Malczeskiego*, kiedy powszechny głos całej Polski przyznał już niezaprzeczoną chwałę ulubionemu poecie, kiedy imię jego było na ustach, a *Marya* w ręku wszystkich rodaków, kiedy pamięć jego stała się nieśmiertelną spuścizną ojczyzny — list ten pisany przez kobietę, której ręka zamknęła poraz ostatni oczy jego natchnione, w chwili gdy na wieczną odchodził pielgrzymkę, której ucho, dosłyszało zapewne ostatnie westchnienie umierającego wieszca i przyjęło ostatnią skargę — list ten, powszedni co do formy, zimny i bezbarwny, uderza nas takim niedostatkiem wszelkiego tkliwego, pięknego uczucia, takim zaparciem się miłości i tak powszednim zwrotem myśli i wyrażen, iż niepodobna jest przypuścić ani na jedną chwilę, aby w tych długich z nią stosunkach biedny poeta mógł znaleźć choćby najmniejsze zaspokojenie tej namiętnej żądz kochania, co była jakby główną sprężyną, jakby ostrzem bodźca, pod którego przeważnym a nieuniknionym naciskiem, całe jego życie spletało się w zamęt i przeszło w cierpienie bez ratunku i bez końca.

Jak dalece mamy prawo wydać sąd tak surowy, dowodzi cały ten list pani Rucińskiej i to niemiło-

z *Malczeskim*, przybył zaraz po jego zgonie. Na co je zabrał bez mej wiedzy, i pomimo to, że one powinny były przy mnie pozostać, i co z nimi zrobił? nie wiem. Ja po śmierci *Antoniego Malczeskiego* ani siły, ani przytomności tej nie miałam, aby się o nie upomnieć. Portretu *Antoniego Malczeskiego* nie posiadam; mam tylko portret jego matki, bardzo do syna podobny, z małą różnicą w oczach, bo te były szafirowe. Matka moja z jego matką były w ścisłej przyjaźni. Pani generałowa *Malczeska* swój portret ofiarowała na pamiątkę mojej matce, odmalowany suchymi farbami i w wielkiej bardzo fryzurze, jakie wówczas nosili.

sierne i nieludzkie przez nią opuszczenie ciepłego jeszcze trupa kochanka — opuszczenie, które zapisał urzędowy protokół.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do

Kto mnie zrozumie, ten się uzali.
Mickiewicz.

Życia bez ciebie zrozumieć nie mogę;
Na myśl rozstania, czuję rozpacz, trwozę;
Wzięłeś mi wszystko — serce, rozum, duszę;
Szczęściu umarła, żyć na świecie muszę;
Jednak nie mogę nazwać cię mym wrogiem,
Nie chcę cię skarżyć, nie! nawet przed Bogiem,
Co widzi boleść, liczy łzy sieroty;
Nie mu nie powiem, o mój skarbie złoty!
Ah! i do ciebie nie dojdzie ta skarga,
Dziki zgrzyt struny, którą rozpacz targa....
Po co przed tobą boleść mą odkrywać?
Tyś motyl, dziecię; tobie kwiaty zrywać
I rzucać zwiędłe: niech nie ciężą ręce, —
Siły w niej słabe, motyle, dziecięce.
I kiedy jutro, zimno, obojętnie,
Podam ci rękę, tę, co tak namiętnie
Do ust tuliłeś, niedawno, zawczora,
Pomyślisz sobie: — Zbudzić się nam pora;
Sen był przyjemny, ale któż w sny wierzy,
Gdy rzeczywistość berło świata dzierży?
Dalej, wesoło, motyl mój odleci,
I nie obawy w sercu mu nie wznieci,
Że zatrul życie słodkimi słowami,
Że ja zostanę, z rozpaczą i łzami!
Bądź zdrów, jedyny! kocham cię bezmiernie,
I błogosławię — nawet za te ciernie,
Co mi zostały z kwiecia twego daru,
I za truciznę — miłosnego czaru!

Amy.

POLĄCZENI NA ZAWSZE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Elizę Polko

przełożyła

Ewelina Kłóskowska.

(Dalszy ciąg).

Wacław puścił ją z wolna z objęć. — Bądź zdrowa! — jęknął — rozłączamy się w imię świętego, wysokiego obowiązku. Jest to jedyna pociecha, która nam pozostaje, ale jest to pociecha wielka bardzo. Serce moje pozostanie przy tobie nazawsze.

Odwrócił się nagle, i szedł ku drzwiom, wyprostowany, pewnym krokiem, ręka jego dotknęła już klamki, gdy naraz usłyszał słaby wykrzyk: — Wacławie, nie odchodź mnie tak... Wacławie, powiedz mi: do widzenia! Podaj mi raz jeszcze rękę, bo inaczej umrę!

Wacław obrócił się i ujrzał ją w pośrodku pokoju, jakby napowietrzne zjawisko, gdyż jej kroków za sobą nie słyszał. Stała z rękoma ku niemu wyciągniętymi, śmiertelnie błada, drżąca, a bez podparcia! Głuchy jęk wydobył mu się z piersi, dreszcz przebiegł po jego ciele, ale nie ruszył się, odrzekł tylko z wyrazem niewymownej prośby: — Jadwigo,

zlituj się nademną, Bóg zesle nam może jaki ratunek! *Jadwigo* — bądź zdrowa. — I znikł.

W cichym, zielonym bluszczem obrosłym domku pani *Strońskiej* obchodzone następne roku w jesieni, podwójną uroczystość: ślub *Karolki* z *professorem Morskim*, i wyzdrowienie syna. Od czasu jak w *Lutym* wieść o nagłym zapadnięciu *Wacława*, jakby piorunem uderzyła w mieszkańców tego domku, okropne przebyło tu chwile. Matka i siostra, odebrawszy zatrważającą wiadomość, pojechały natychmiast do *L.* i zastały ukochanego syna i brata w gwałtownej gorączce nerwowej, leżącego bez przytomności.

Wiele czasu minęło, zanim, z największym poświęceniem i przy największym staraniu, udało im się nakoniec to drogie życie wydrzeć szponom śmierci, lecz dopiero w połowie lata można było chorego przewieźć do domu.

Nikt nie znał przyczyny ciężkiej choroby. Przepuszczano zaziębienie i początkowo doktorzy mało robili nadziei, gorączka wznagała się z największą gwałtownością. Raz, późnym już a ciemnym i słotnym wieczorem, jakaś pani weszła do przedpokoju i usilnie prosiła o możliwość widzenia się z *Karolką*. Pani *Strońska* położyła się właśnie i tylko *Karolka* z siostrą *miłosierdzia* czuwała przy chorującym, lecz na nagłace wzywianie nieznanajomej podniosła się od łóżka brata i przeszła do małego pokoju obok, gdzie wprowadzono nieznanego gościa. Zanim przecież mogła przekonać się, kto to był, uczuła nagle dwoje rąk zarzucających jej się na szyję, usłyszała głos zmieszany z płaczem, który zawałał:

— Czy poznajesz mnie, *Karolko*?

— *Jeżus, Marya* — wykrzyknęła przestraszona — to ty, *Jadwigo*!

— Cicho, cicho! — Zmuszają mnie dziś jeszcze w nocy do odjazdu — i muszę jechać! Ale nie mogę przenieść na siebie, abym odjechała, niewidziawszy go raz jeszcze. Chcę raz jeszcze pożegnać się z *Wacławem*. Ale nie bój się o niego; będzie to tylko ciche widzenie. Jeżeli nie chcesz, abym padła tu na ziemię martwym trupem, to wpusć mnie do niego!

— Nie mogę! ah *Jadwigo*, on cię nawet nie pozna, tak jak i z nas żadnej nie poznaje! a gdyby mama wiedziała, że właśnie ty....

— *Wacław* wyzdrowieje! mój stary doktor zapewnia mnie, i on-to będzie mi donosił, codziennie o stanie zdrowia *Wacława*. W śmiertelnej trwodze i rozpaczyci wyznałam mu wszystko.

— Ale teraz muszę widzieć *Wacława*. Będę się sprawiała tak cicho, oh! nie odezwę się ani poruszę! O, zmiłuj się nademną!

Jesteś przecież szczęśliwą narzeczoną; wyobraź sobie człowieka, którego kochasz, ciężko chorym, o kilka kroków od ciebie leżącym, a potem zabroń mi wejścia!

— Ah *Boże*! — westchnęło zmieszane dziewczę — ah *Boże*! co mam robić? Ale mama już śpi i.... chodź...

Nagle przecież dobra *Karolka* zatrzymała się u drzwi.

— Jest tam siostra *miłosierdzia* i może cię poznać — rzekła do *Jadwigi*.

Pełny pożalowania i nad wyraz smutny uśmiech przebiegł po ustach kobiety. — Poznać mnie.... powtórzyła. — Czyż sądzisz, że mnie to co obchodzi? — dodała z wyrazem namiętnej goryczy. — Mówię ci, że gdyby świat cały zebrany był tam w pokoju, i gdyby kara śmierci oczekiwiała mnie na drodze ku niemu, to jeszcze ani chwili nie wahałabym się.

— No, to chodź, ale przyrzeknij mi, że....

— O *Boże*! nie dręcz-że mnie tak śmiertelnie, nie katuj mnie swoją powolnością. Wszystko ci przyrzeknę, tylko mnie tam wpusć.... Chcę go widzieć tylko, raz jeszcze.... Tylko widzieć — nie nad to!....

Karolka popatrzyła się z politowaniem na nieboga, z której oczu lały się łzy, a potem poszła cichym krokiem naprzód przez dwa, na wpół oświetlone pokoje, podniosła portierę trzeciego i ukazał się oczom jej *Wacław*, spoczywający na łożu boleści. *Jadwiga* drżącym krokiem przystąpiła do łóżka.

Jak cień jaki przesunęła się przez pokój postać zakonnicy; dwie kobiety pozostały same przy chorującym. Z szeroko rozwartymi oczyma patrzyła długo przed siebie *Jadwiga*, zanim rozpoznała ukochane rysy. Potem nachyliła się i pocałowała po-

duszkę, na której rozpalona głowa spoczywała bezwładnie.

— Ty wyzdrowiejesz! — szeptała z namiętną czułością — gdyż ja umrę za ciebie. Może jednej ofiarę będzie dość... Do widzenia, najdroższy! Kleczyła długo przy łóżku i modliła się cicho; lecz powstawszy, nachyliła się nad chorym i usta dotknęły czoła. Szepcząc „do widzenia“ opuściła pokój chorego. Nie słyszała, jak wkrótce potem ciężkie westchnienie wyrwało się z jego piersi i z jaką czułością usta spalone gorączką wymówiły jej imię. Nawet i tego nie słyszała, jak Karolka, przestraszona wyrazem jej twarzy, starała się ją pocieszyć słowami pełnymi miłości. Rozpalona, rozgorączkowana i zziębła zarazem, znalazła się znów na ulicy.

Wiele, wiele tygodni minęło od tego wieczoru; po burzy nastąpiła pogoda i Wacław wyzdrowiał w końcu. Wyglądał jeszcze blado, przerażająco blado, gdy prowadził Karolkę do ołtarza. Twarz jego nie okazywała ani cienia tego szczęścia, które rozjaśniało oblicza otaczających; ale mógł już oznaczyć czas wejścia w czynną służbę, i miał nadzieję że po dwóch miesiącach, odjedzie na miejsce nowego przeznaczenia, do małego miasteczka, które przecież miało to za sobą, że tylko trzy mile dzieliło go od matki; te zaś dwa miesiące postanowił przepędzić w południowych krajach. Ostatnie dni Wrzesnia i cały Październik, były jakgdyby umyślnie dobrane do przepędzenia ich w Rzymie i Kampanii. Jeżeli mógł kiedy zupełnie wyzdrowieć, to tylko tam jedynie.

Prawie z chorobliwą obawą unikał każdego wspomnienia przeszłości, nigdy nie pytano go o powód przebytej choroby, i tak matka jak i siostra nie ważyły się wspominać imienia kobiety, o której były przekonane, iż stała się powodem przebytego nieszczęścia. Karolka nie odtąd nie słyszała, o Jadwidze, i ani domyślała się, że dwa listy, opatrzone zagranicznymi markami, matka jej spaliła, nawet nieczytane, i że jednego większego pakietu, daleko później nadeszłego, zaadresowanego do Wacława, dotąd jeszcze synowi nie wręczyła.

Każde wspomnienie o tej własności Wacława, którą ukrywała, a nie odważała się jej zniszczyć, niewiedząc co zawiera, wprawiało ją w przykre rozdrażnienie. Pakiet leżał w szczelnie zamkniętej szafeczce i niemal codziennie odnawiała się w sercu macierzyńskim walka: czy ma pakiet ten oddać już synowi, czy jeszcze go ukrywać? Ale dzień za dniem upływał bez stanowczej decyzji, aż zwolna miłość do syna przemogła wszystkie skrupuły, i matka Wacława postanowiła nie dopuścić do niego żadnych wspomnień o kobiecie, teraz podwójnie jej nienawistnej. Czyż nie ona była sprawczynią wszystkich jej nieszczęść, czyż życie Wacława nie zostało zwichniętem przez nią, czyż nie ona zagroziła mu drogę do szczęścia, znieczuliła jego serce dla wszystkich kobiet? Biedna matka płakała gorąco na samo wspomnienie Jadwigi, a choć coś ją wstrzymywało jeszcze od zniszczenia pakietu, w którym widziała nowy wabik zalotnicy, powiedziała sobie, że jej obowiązkiem jest strzedz syna od wzruszeń. Pełna obawy, szukała w rysach jego twarzy śladów przebytego cierpienia i ciężko wzdychała na widok wrytego na niej głębokiego smutku, który widocznym był, osobliwie gdy młodzieniec sądził, że uszedł badawczego wzroku matki, która odetchnęła dopiero swobodniej, gdy zobaczyła, że Wacław czyni przygotowania do podróży, energicznie i pośpiesznie. Wiedziała jak bardzo pragnął być w Rzymie, i spełnienie dawno żywionego życzenia musiało wlać nowe życie w piers, mieszącą w sobie tyle zapалу artystycznego. Spotkanie z Jadwigą zdawało jej się niemożliwym, ponieważ jeszcze na wiosnę słyszała, przez trzecią osobę, jako rzecz niezawodną, że państwo Górzycy zamysłają lato przepędzić w Szwajcaryi, a jesień i zimę w Nicei.

Do Rzymu zatem może puścić syna bezpiecznie; w Rzymie otworzą się przed nim nowe a szerokie horyzonty, otoczą go nowe myśli i zajęcia. Błogosławiła go, gdy wyjeżdżał, a odetchnęła spokojnie, gdy doniósł jej nakoniec, że już jest w Rzymie.

Już jest w Rzymie... znużenie podróży skrzepowało go przeciw silnem osłabieniem i tylko z okien mieszkania spogląda na Wieczne Miasto. Tuż przed domem wznosiło się drzewo figowe i przepysza

Yucca gloriosa, szeroko-listny, ciemno-zielony powój piął się po murze, a łagodny zapach mirtu napełniał pokój przybysza z północy. A więc to był ów, tak gorąco upragniony Rzym! Roma Nobilis! Naprawo chaos domów i pałaców, nalewo wspaniałe a razem wzruszające zwaliska starożytnego przepychu, przez to środkiem wijący się jako szeroka wstęga, malowniczo płynący Tyber. Kościoły i klasztory wznosiły się ponadto wszystko, lecz olbrzymia myśl Michała Anioła przewyższała wszystkie budowy, i oto kopuła kościoła św. Piotra dźwiga się zwycięsko ku niebu.

Pałace cesarskie, te grobowce w ruinach, ubrane w cyprysy, te wspaniałe łuki, forum ze swemi filarami, olbrzymie arkady, Koloseum, czerwono błyszczące Termy Karakalli, a wszystko to ujęte w ramy najprzepyszniejsze, otoczone cudowną Kampanią, czarującymi łańcuchami gór Sabińskich i Albanskich! Jak ogniste złoto błyszczą szczyty śniegiem okrytych Abruzzów; ponad niebiesko-liliowymi wyżynami niebo jaśnieje świetnym błękitem, niżej ponad krajobrazem ubranym w pyszną złotawą zieloność, lekkie chmury, oświetlone promieniami słońca, wyglądają jakby purpurową okryte zasłoną. Wszystko błyszczy, olśniewa, płonie.

Wacław odważył się dopiero na kilka małych wycieczek, które na ulicach zaczynały się, a na Kampanii kończyły. Jakże go zajmowało i zawsze nanowo dziwiło, to szczególne życie na ulicach południowego miasta, gdzie lud przechodniowi dozwala, aby mu przypatrzył się przy jego robocie, tak jak i w czasie spoczynku, przy jedzeniu i picciu, przy zabawie, grze i tańcu, przy myciu się i ubieraniu, przy krawiectwie i szewctwie, heblowaniu i kuciu, przy modleniu się przed obrazem Matki Boskiej z płonącą wieczną lampą — a nawet i podczas snu.

Bez znużenia wędrował już po kilka razy przez Villa-Condotti i Piazza Montamara, Rapetta i Ghetto, a przez sale pałacu Barberini przechodził jakgdyby we śnie.

Dziwnymi, jak zjawiska, wydawały mu się charakterystyczne postacie mężczyzn i kobiet w łachmanach, a sam on był za nadto nieszczęśliwym, aby mógł kiedykolwiek pozostać zimnym na głosy, które w koło niego wołały żałośnie: — Datemi qualche cosa, signor — ho fame; — albo prosiły jęcząc: — Misericordia, per la madre di Dio! — Już go też z tego poznało, i wkrótce lud ubogi pokochał bladego przybysza z okropnego kraju, gdzie podług podań ludu łamecznego: — sempre nieve, case di legno, ma danaro assai, (zawsze śnieg, domy drewniane, ale pieniędzy podostatkiem).

Kilka godzin dziennie poświęcał na zwiedzanie różnych galerij. Wrażenie, jakiego doznał na widok cudów sztuki, było snadź za silne jeszcze dla osłabionego ciała, bo opanowywały go wśród doznawanych wzruszeń jakieś szczególne myśli, szczególne jakieś drżenie przy wszystkim, co go zajęło i wzruszało.

Zdawało mu się, że tykoczo przed nim oko Jadwigi spoczywało na tych pięknościach, które teraz roztańczają się przed nim, jakby tykoczo rąbek jej sukni dotykał posadzki, po której on teraz stąpa; jakby jej postać postępowala przed nim, jakby go wabiła i wołała. Wzrastało to ciągle i zaczął się czuć, jakgdyby wciąż i zawsze był przy jej boku, w pobliżu jej, i to tak wyraźnie i zachwycająco, że zdawało mu się nieraz, jakgdyby tylko potrzebował otworzyć ramiona, aby ją objąć i przycisnąć do serca, silnie i nazawsze — tę wiecznie ukochaną, nigdy niezapomnianą! Jak mu się to teraz niezrozumiałem wydało, że ją opuścił! Jakże nędznymi i blahami znajdował te przyczyny, które sprowadziły oddalenie się od niej! Serce biednego cierpiało niewymownie!... Myśli jego brały całkiem inny kierunek; wszystkie względy, jakimi się rządził dotąd na świecie, jakby jakie pęta spadały z niego w cichem, zamkniętem życiu, które pomimo to tak było wzruszającym i ożywionem! Dziwna jakaś opanowała go wesołość: było to jakgdyby przewidywanie szczęśliwej jakiejs zmiany, nowego, odmiennego życia; i listy jego zdradziły przed matką niechęć coś z tych, dotąd mu obcych a przyjemnych, uczuć.

(Dokończenie nastąpi).

VANINA ORNANO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

przez

J. K. S.

(Dalszy ciąg).

Scena II.

(Podczas gdy Sampierro zajęty jest czytaniem, straż drzwiami z lewej strony wprowadza dwie kobiety w zasłonach, i Juanitta).

Pierwszy sędzia (wznosząc ręce)

O Boże, dzięki Ci!... to nie on...

Sampierro (czyta)

Prawda... trzy listy żelazne z podpisem Dorii i pieczęcią... A to? jeszcze czwarty list... (otwiera i czyta). „Najdroższa Vanino! Co? Vanino? szalony jestem... to imię niejedna przecież nosić może. (Czyta dalej). „Przybądź na dolinę Valdi-Monte, a twe najszczęsersze pragnienia...“ (szybko przebiega list), podpis: Carlo Doria. (Drżącą ręką kładzie list na stole, podnosi się i zbliża do jednej z kobiet). Kobieto... kobieto... powiedz kto jesteś... Powiedz mi tylko jedno słowo, ale cicho, cichutko, żeby tamci nie słyszeli... Tylko, kobieto, na miłość Boską, zaklinam cię, nie podnoś zasłony, co zakrywa twarz twoją.

Vanina (podnosząc zasłonę)

Dlaczego? nie rozumiem cię? (Sampierro, tłumiąc okrzyk, zakrywa twarz. Vanina klania się sędziom i zbliża do stołu). Panowie, najpierw muszę wam powiedzieć, że ta druga osoba, to Bianca Veracruce, moja zająca przyjaciółka i sługa; a ten młodzieniec to paż mój: Juanitto Valdi. Ci oboje rodem z Florencyi, przybyli tu tylko chwilowo, a jako nie-Korsykanie, myślę, że nie podlegają waszemu sądowi. Korsyka zapewne nie będzie chciała, aby potężna Florencya stała się jej wrogiem. Przytem ci dwoje są moimi sługami: moja a nie ich wola kieruje ich krokami; za ich czyny ja sama tylko odpowiadam. Ja sama — jestem Vanina Ornano, małżonka waszego...

Sampierro (zrywając się)

Nie wymawiaj tego imienia, kobieto!

Vanina

Małżonka waszego wodza, Sampierra Bastelico... ja, uważam Korsykę za moją drogą ojczyznę i poddaję się waszemu sądowi, panowie. (Ogólne zdziwienie, uśmiech ironii na twarzy Hugona).

Vanina (po chwili)

Proszę raz jeszcze o uwolnienie Bianki Veracruce i Juanitta Valdi (milczenie). Niech smutny ich los nie spada na moje sumienie. Korsyka nie jest ich ojczyzną, lecz moją... Jedynym grzechem ich jest wierność i przywiązanie do mnie. (Milczenie).

Sampierro

Niech obwinieni wyjdą do drugiej sali. (Na odgłos dzwonka wchodzi straż; Vanina chce się zbliżyć do męża, on odsuwa ją ręką. Vanina, Bianca i Juanitto wychodzą wraz ze strażą)

Scena III.

(Ogólne milczenie sędziów, widoczna walka wewnętrzna w twarzy i ruchach Sampierra, który podaje papiery sędziom, a sam wstaje i przechadza się, Hugo wstaje i zbliża się ku niemu. Sędziowie czytają i oglądają papiery, przesuwając je jeden drugiemu).

Sampierro (*zwraca się nagle do Hugona*)

Hugonie.... zmiłuj się.... wytłómacz mi, co to wszystko znaczy?

Hugo

Łatwo zrozumieć. Zwycięzca Doria ponętniej-
szy od zwyciężonego, skazańca Sampierrra.

Sampierro

Nie.... to być nie może! nie!

Hugo

A jednak tak jest. A może i tak nie jest — kto wie? Serce kobiety to otchłań niezgłębiona...
zwierzchu uśmiecha ci się błękitem czystej miłości, a na dnie kryje brudne męty zdrady.

Sampierro

To być nie może,—ja mówię ci, Hugonie.

Hugo

Carlo kocha ją oddawna.

Sampierro

Wiem o tem,—ale ona....

Hugo

Ha, ona kochała niby ciebie.... Może jej pochleb-
biało być żoną bohatera.... może się jej przyśniła
korona korsykańska.... alboż ja mogę wiedzieć?

Sampierro

Więc jesteś przekonany?

Hugo (*zimno*)

Codo moich przekonań, wiem tylko to, co list
ten wyraźnie mówi: że miała się widzieć z Carlem
Dorią na dolinie Valdi-Monte. Poco? ja wiem.
Może miała do ciebie powrócić, może miała już tam
zostać.... o tem może nas zechce objaśnić. Ja wiem
tylko to jeszcze, że młode a piękne kobiety, zwy-
kły bywać niestałemi.

Sampierro

Hugonie, ja myślałem, że ty mi wytłómaczysz, że
mi dasz słowo rozwiązania tej straszliwej zagadki.

Hugo

Dałem ci je.

Sampierro

Ja szaleję z boleści.

Hugo (*z ironią*)

Jest o co—o kobietę!

Sampierro

Ah, bez litości jesteś.

Hugo

Ty wiesz, że serca nie mam.

Sampierro

Zazdrości jad mnie pali.... hańba szkarlatem bla-
de lica okrywa.

Hugo

Nie pierwszyś, i nie ostatni.

Sampierro

Oh, ja tak ją kochałem!.... tak jej wierzyłem!

Hugo

I odjechawszy w dzień ślubu, spokojny o nią by-
łeś? A może tam Carlo Doria ją odwiedzał, kto wie?
Bo i dlaczegoż, proszę, żona nie przybyła tu wcze-
śniej, tylko mniej więcej wtedy, gdy tu Carla przy-
ślano, i gdy się zbliżył w te strony!

Sampierro

Więc to dla niego przybyła? Oh, teraz wszyst-
ko rozumiem! (*Zwracając się do sędziów*) Sędzio-
wie, czyście wszyscy czytali dowody zbrodni?

Kilku sędziów

Czytaliśmy.

Jeden z sędziów

Ja znam pieczęcie. Tu są stosunki z Dorią—
niebezpieczeństwo.

Sampierro

Co stanowicie względem tych dwojga sług, Bian-
ki Veracrucce i Juanitta Valdi?

Pierwszy sędzia

Niewinni, nie wiedzieli po co ich pani posyła.

Sampierro

I moje zdanie, że ich uwolnić potrzeba. Ale
przecież nie możemy bez sądu uwolnić tej nie-
wiasty, która tu do nas przed chwilą przemawiała.

Wszyscy

O nie, nie—pod sąd!

Sampierro

Więc niechaj staję przed nami i sądźmy ją. (*Dzwo-
ni gwałtownie, wchodzi straż, do której mówi*): Wpro-
wadzić oskarżoną.... oskarżoną....

Hugo

Vaninę Ornano. (*Straż wychodzi*).

Scena IV.

(*Sędziowie, wchodzi Vanina, straż się cofa*).

Vanina (*szybko zbliża się do Sampierrra i mówi cicho*)

Ukochany ty mój... (*Spotyka się ze wzrokiem Sam-
pierrra i zakrywa dłońmi oczy*). Ah! zgubionam! (*Je-
den z sędziów wstaje, przysuwa drżącej Vaninie krze-
sło; Vanina siada*)

Sampierro (*wpół cicho*)

Hugonie, pytaj.... ja nie mogę. (*Opiera się ręką
o stół i odwraca twarz*).

Hugo

Vanino Ornano, czy ten list do ciebie pisany?

Vanina

Do mnie.

Hugo

Od kogo?

Vanina

Od dawnego.... dawnego.... jeszcze z lat młodo-
ści i szczęścia przyjaciela mego—od Carla Dorii.

Hugo

Jakim sposobem list ten doszedł rąk twoich, Va-
nino Ornano?

Vanina

List ten, jak łatwo poznać z jego treści, jest od-
powiedzią na mój list, który przez pазia mego, Jua-
nitta Valdi, pisałam.

Hugo

Zkąd mieliście owe listy bezpiecznego przejścia?

Vanina

Juanitto przywiózł mi je od Dorii, abym bezpie-
cznie, niewstrzymana przez strażę genueńskie, mo-
gła stanąć na umówionem miejscu; codo Korsy-
kanów, sądziłam, że nie zatrzymają żony....

Sampierro (*gwałtownie*).

Nie wymawiaj imienia mego, niewiasto! (*Vanina
zalamuje ręce*).

Hugo

Jakiż był cel tej podróży?

Vanina

Cel? cel jest w liście wyraźny.... chciałam się
widzieć i pomówić z Carlem Dorią.

Hugo

O czym mieliście mówić?

Vanina (*powstaje, chce się zbliżyć do Sampierrra;
on się usuwa*)

Nie powiem.

Hugo (*z ironią*)

Ha! łatwo się domysleć.

Vanina (*nieśmiało*)

Gdyby mi wolno było słów parę na osobności,
lub pocichu pomówić z moim mężem....

Sampierro

Tu niema męża twojego, niewiasto — jest tylko
sędzia równie surowy i nieubłagany jak inni. Co
masz mówić, mów głośno.

Vanina

A więc nie powiem nic. (*Usiada w krześle*)

Sampierro

Czas radzić nad wyrokiem.

Hugo

Kobieta ot ta, Vanina Ornano, miała listowne
i osobiste stosunki, nietylko z obozem, ale wprost
z samym wodzem genueńskim. Dostała od niego
list wolnego przejścia, udawała się na umówione
miejsce dla widzenia się z nim.... zbrodnia przewi-
dziana w prawie: Vanina Ornano porozumiewała się
z Genuą, zdradzała naszą ojczyznę. Ja uważam, że
Vanina Ornano winną jest zdrady kraju.

Sędziowie

Winną zdrady kraju.

Sampierro (*wstaje i kładzie rękę na krucyfiksie*)

Za zdradę kraju; śmierć! (*Inni sędziowie milczą*).

Hugo

Tak, według litery prawa, lecz to nadto surowo.

Sampierro (*wstaje drugi raz*)

Za zdradę kraju—śmierć!

Hugo

Czyż nie możnaby zmienić kary śmierci na wy-
gnanie? Niech Vanina Ornano odpłynie natych-
miast, i nie wraca tu już nigdy.

Sampierro

Sędziowie.... za zdradę kraju - śmierć! Tak jest
w naszych ustawach. Względem na osoby nie może
zmieniać wyroków. Sąd ten ustanowiony na zdraj-
ców... nie pytajmy *kto* zdrajcą, ani *jak się zowie*.

Drugi sędzia

O Sampierro, my nie jesteśmy stronniymi—wzo-
raj przed naszym sądem stanął mój młodszy brat,
a ja wraz z wami powiedziałem: śmierć!

Paolo

Wczoraj przed sądem stał tu mój syn jedyny...
a ja wraz z wami skazałem go na śmierć.

Hugo

Prawo powinno być niewzruszonym jak przezna-
czenie, jak fatum, któremu sami ulegali bogowie;
jednakże tutaj zachodzi wypadek szczególny. Przy-
szło mi na myśl, dostojni sędziowie, że inne po-
budki kierować mogły krokami tej pani, i w postę-
powaniu jej są tylko pozory zdrady kraju. (*Vanina,
dotąd blada i nieruchoma, powstaje, jedną ręką opiera
się o poręcz fotelu i słucha bacznie*). Jak to jawnie
widać z listu Dorii, któryście panowie czytali, on
kocha tę piękną panią. Z pośpiechu, z jakim się
udawała na umówione miejsce, widać także, że i on
łaski jej pozyskał — jest ona zatem mniej winną
niżby się zdawało. Nie sprzyja Dorii jako dowódz-
cy wojsk genueńskich, ale tylko jako pięknemu
młodzieńcowi, który ją już oddawna, jak widać,
kocha, a może i sam oddawna jest kochanym. Na

ten raz zatem, myślę, karę śmierci na wygnanie zamienić można.

Vanina

Więc tracę nawet dobre imię! O Boże! (Upada zemdlnona. Sampierro rzuca się ku niej, ale nagle wstrzymuje się—inni sędziowie podnoszą ją i sadzają na fotelu).

Sampierro

Dziękuję wam... nie mogłem patrzeć na leżącą u mych nóg... a dotknąć się jej... o, dotknąć się tej kobiety nie mogłem! Wy, co innego: was jej dotknięcie nie plami. (Wszyscy się usuwają, wracając na dawne miejsca.—Sampierro wpatruje się w omdloną, lecz gdy Vanina wdycha głęboko i do siebie przychodzi, on się odsuwa).

Vanina (powstając powoli i z wysiłkiem)

Przepraszam was, panowie... dziękuję za pomoc. To był nagły, niespodziewany piorun, co ugodził w serce, tu w samo serce — i zdruzgotał. O, czemuż ja żyję jeszcze, czemuż nie skończyłam od razu? Jakże mi ciężko żyć! (Przeciera czoło i oddycha głęboko). Tak mi myśli wirują i huczą, taki chaos w głowie! Nie pamiętam,—nie wiem nawet czy dobrze zrozumiałam... może mi się tak zdawało tylko. Signor Hugo Colonna: czy rzeczywiście wyrzekł się, wobec tych oto tu wszystkich, i wobec tego człowieka (wskazuje Sampierro), że mnie, Vaninę Ornano... posądzasz, jakże tu wyrzec? posądzasz o płochę miłości z Carlem Doria? Czyż to powiedział rzeczywiście? (niektórzy, milcząc, potakują). I signor Hugo Colonna, powiedziawszy, to żyje jeszcze? i zasiada tu, obok mego... obok tego człowieka? Ha, to okropne! (Zatamuje ręce i stoi ze spuszczoną głową, potem szybko zbliża się do Sampierro, chwyciła go za obie ręce i, choć on chce odwrócić twarz, wpatruje się w oczy jego). I ty, ty, mężu wierzysz w to? (nie przestaje się wpatrywać). Tak, twoje oczy już wyrok na mnie wydały. (Odstępuje od niego).

Hugo

Zadługo już trwa to wszystko, sędziowie: głosujmy za wygnaniem.

Sampierro

Śmierć!

Pierwszy sędzia

Wygnanie.

Hugo i Paolo

Wygnanie.

Kilka głosów

Wygnanie.

Vanina

Nie, sędziowie moi—nie wygnanie. Odbieracie mi droższą nad życie dobrą sławę niewieścią, piętnujecie mnie hańbą i wyganiaacie z ziemi, gdzie pozostawiam wszystko, co ukochałam na świecie! I toż to ma być łaska? O, łaska taka sroższa niżli srogość waszal! Hańba i wygnanie... toż to śmierć długa, powolna, okropna. Hańba i wygnanie... to tortury i konanie pod okiem obojętnych ludzi... Ja tego nie zniosę, sędziowie. Chciecie mnie chyba doprowadzić do rozpacz i samobójstwa? Mówią, że samobójstwo straszną jest w oczach Boga zbrodnią... mówią, że aniołowie zakrywają oczy swoje, a szatan chwyci duszę samobójcy i wlece z sobą na wieczyste męki. Nie zabijacie duszy mojej, panowie... nie odganiajcie odemnie aniołów, co smutni patrzą na moje cierpienia... zawyrokujecie: „śmierć.“ Oto ten człowiek (wskazuje Sampierro) kochał mnie niegdyś... zna mnie... i on powiedział: śmierć! Panowie, powtórzcie słowa jego—proszę was o to, błagam, klękę przed wami, żebrząc, nie łaski, nie miłosierdzia, lecz sądu sprawiedliwego. Wszakże ja zdradzam Korsykę... idę do obozu Dorii... chcę wydać waszego wodza i was samych... rzecz jawna. Zasłużyłam na śmierć. Dajcie mi śmierć, a brońcie mnie od rozpacz! Panowie, jam chrześcijanka... sztylet znieważonej

Lukrecyi wypada mi z ręki, bo lękam się sądu Boga. (Ogólne wzruszenie sędziów).

Sampierro

Nie mamy mocy udarować tej kobiety życiem... ona sama przyznaje się do zbrodni: trzymajmy się litery prawa. (Do Hugona z ironią). Mistrzu mój, ciesz się! Wydarłem z piersi serce i spaliłem je w ogniu nienawiści. Wysuszyłem tym ogniem źródło, i nigdy niemieckiej kropli nie będzie w oku, co żarem piekielnym połyska. Ja teraz będę jedną myślą,—będę silny, jeden, nierozdzielny: ciesz się, mistrzu mój. Już i Korsyki nie Kocham, lecz nienawidzę Genui, a to dość, aby niszczyć, palić i mordować... O, gdyby Bóg mi dał siłę olbrzymich Tytanów, pochwyciłbym Korsykę i rzucił na ląd stały, aby gruzami swemi zasypała Genewę!

Straż (wchodzi)

Juanitto Valdi wyskoczył z okna tamtej sali... i uciekł.

Hugo

Uciekł? Straż była przy oknie?

Straż

Dosiadł konia Sampierro, którego jeden żołnierz trzymał...

Hugo

I cóż?

Straż

Dośćgnąć i wstrzymać go nie mogli... żołnierze posłali za nim kul kilka, lecz on wyszedł z ognia zdrowo i cało.

Sampierro

W którą stronę udał się stronę?

Straż

Ci, co z pogoni wrócili, mówią, że na twym dzielnym koniu, wodzu, przebył wpływ Tavignano, i udał się wprost w góry. (Na dany znak wychodzi).

Hugo

Może do obozu Dorii.

Vanina

Pocziwy Juanitto! on mnie chce uratować... (do sędziów). Oto nowa zbrodnia, panowie... paż mój wzywa na pomoc dla mnie, wrogów waszych. (Za mieszanie i cicha rozmowa pomiędzy sędziami).

Żołnierz (wchodzi)

Szpiegowie wysłani donoszą, że w obozie Dorii panuje ruch niezwykły. Genueńczycy gotują się do pochodu... podobno mają iść na Corte. (Na dany znak wychodzi).

Hugo

Na Tavignanie wszystkie mosty zniszczone... mogą być tu dopiero jutro po południu. Mamy czas przygotować się do obrony.

Sampierro

Mogą jednak być już zrana, jeżeli znają tajemne przejście przez góry.

Vanina

Przyjdą przez góry...

Hugo (zrywając się)

Vanino... z kąd wiesz o tem?

Vanina

Juanitto zna tę drogę... i wskaże im, aby na czas przybyli. Oto jeszcze jedna zbrodnia.

Sampierro i inni sędziowie

Za zdradę kraju—śmierć!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dwaj myśliciele francuzcy

Z XVIII WIEKU.

(Dalszy ciąg)

Stanawszy na „ziemi wolności“, która miała się dlań stać ziemią niewoli, Rousseau, jak zawsze uczuciowy, padł na kolana i podziękował niebu za ocalenie. Zatrzymał się w Yverduu, u swego przyjaciela Roguina. Po kilku tygodniach panowie z Bernu, do których Yverduu należał, kazali mu granice swojego państwa opuścić. Przeszedłszy tylko przez górę, znalazł się Rousseau w innym już państwie, w Neufchâtelu, podówczas pruskim, i zamieszkał w ofiarowanym sobie domku w Motiers-Travers. Neufchâtelem zarządzał wtedy lord Jerzy Keith, przyjaciel Fryderyka a brat Jakóba, marszałka Keitha, który, wygnany z ojczyzny, krew szkocką oddał wraz z życiem za sprawę pruską w bitwie pod Hochkirch. Keith był człowiekiem wolnomysłnym i szlachetnym; zapewnił też Rousseau'a, że może spokojnie mieszkać w kantonie; zapraszał go często do siebie, do Neufchâtelu i zamku letniego Colombier; sam odwiedził go w Motiers: świadczył mu wszelkie honory, takiemu dostojnikowi umysłowemu należne. Fryderyk, uwiadomiony o wypadku, opieką swoją wyгнаńca osłonił; zobaczymy, że nie uchroniła go ona od przesładowań. Wkrótce przez prawdę swoję Jan Jakób, jeśli sobie nie naraził, to przynajmniej zobojętnił, króla-filozofa. Napisał do niego list z radami dotyczącymi rządów, które Fryderyk sprawował w Prussiech. Król miał filozofię i wolnomysłność tylko dla innych nie dla siebie i na list Jana Jakóba nie odpowiedział. Był to aż nadto wyraźny znak niechęci.

Patryarcha z Ferney, dowiedziawszy się o nowym tułactwie Rousseau'a, miał ze łzami w oczach zawołać: „Niech przyjdzie, przyjmę go jak syna“, ale Rousseau, albo nie otrzymał należycie o tem wiadomości, albo też z otrzymanej nie skorzystał. To, co mówią o udziale Voltaire'a w potępieniu Rousseau'a przez Małą Radę Genewską jest tylko oszczerstwem i brednią. Sławetna rada miała innych prokuratorów i doradców, i ci tak śpiesznie wyjednali na niej deklarację uczciwości przeciwko nieuczciwemu autorowi *Emila*, że już w dziewięć dni po wyroku paryzkim, kat spalił na placu Genewy obrzydliwą książkę. Powrót do ojczyzny stał się Janowi Jakóbowi niepodobnym; pozostał więc w Motiers, a gdy nadzieja odwołania interdyktu po kilkumiesięcznych zabiegach spełzła, napisał w Maju 1763 r. do syndyka rzeczypospolitej, Favre'a, list, w którym rzeka się nazawsze obywatelstwa genewskiego. Krótka ta odezwa jest arcydziełem godności, umiarkowania i rozumu. Powiew urzędowego wstecznicstwa dosięgnął i umysł w Neufchâtelu; wygnaniec, z długiego armeńskiego stroju swego na ulicach tego miasta znany, musiał zaprzestać przyjazdów, gawiedzi bowiem, ujrawszy go, miotała nań obelgi. Chcąc być zupełnie z przepisami policyjnymi w zgodzie, Rousseau jako protestant przystąpił publicznie do komunii. Zapewniło mu to spokojne zamieszkanie przez kilkanaście miesięcy przynajmniej w Motiers, ale ściągnęło nań słuszne w zasadzie niezadowolone przyjaciół a napaści nieprzyjaciół, w których rządzie i Voltaire wystąpił. W końcu r. 1764 tolerancja sprzykrzyła się obywatelom w Motiers. Przez ośm miesięcy przesładowano Rousseau'a w rozmaity sposób; nareszcie we Wrześniu 1765 r. pewnej nocy napadnięto na jego dom, zasypano go gradem kamieni i o mało nie zniszczono. Na nie się nie zdała opieka potężnego Fryderyka, na nie przystąpienie publiczne do komunii: Rousseau musiał uciekać. Udał się na małą wysepkę Saint-Pierre, na jeziorze Biennuńskim; razem z Teresą, która go od czasu zamieszkania w Motiers nie odstępowała, znalazł schronienie w domu miejscowego poborcy. Wygnany, już nie z ziemi ojczystej, ale ze świata, w zupełnym od niego odosobnieniu, spędził na wysepce parę miesięcy na cią-

głych wycieczkach, — z głównym celem determinowania roślin. — Otrzymał swobodę umysłu i miał już nadzieję spokojnego dotarcia do portu, którym śmierć tylko być mogła, kiedy nagle doręczono mu dekret Ich Exzellencji panów z Bernu, aby się czempredziej z wyspy wynosił. Nowe zatem tułactwo. Keith, oświadczywszy się poprzednio z gotowością zabrania prześladowanego do Szkocji, do której powracał, teraz postanowił go zabrać do Potsdamu; Rousseau zgodził się już na to i, zostawiając Teresę, dekretem Ich Exzellencji nie dotkniętą, na wyspce, wyjechał na Strasbourg do Berlina. W Strasbourgu otrzymał zaproszenie od filozofa i historyka D. Hume'a, do którego jeszcze Louxembourgowie wysłać go chcieli, i, ulegając namowom, pomimo wstępu do Anglii i Anglików, na początku roku 1766 stanął na ziemi Albionu. Ale wstępu ów, przy intrygach, w których nawet minister Walpole uczestniczył, przy niezgodności charakterów, jaka rozdzielała obu filozofów — po jednorocznym pobycie wygnął Rousseau'a z Anglii. W połowie roku 1767 widzimy autora *Emila* napowrót we Francji. Pozwolono mu mieszkać w tym kraju, z wyjątkiem Paryża i pod warunkiem, aby nie przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy w państwie i kościele, słowem ni czynem, nie przedsiębrał. Przez trzy lata zmieniał Rousseau ciągle swą siedzibę; przemieszczał się kolejno w Bourgoin, w Monquin, w Trye, nieprześladowany już przez nikogo, ale i przez nikogo niepopieranym; dawne stosunki wielko-swiatowe prawie wszystkie przez wyjazd zerwano uległy. W roku 1770 nareszcie pozwolono tułaczowi wrócić do Paryża. Zamieszkał w dzielnicy, która już raz miała go wespół siebie, na prawym brzegu Sekwany, na ulicy Platrière, około ulicy Neuve de Petits-Champs. Ulica ta od Rewolucji nosi nazwę „Jean-Jacques Rousseau“. Żył w wielkim niedostatku, w smutku i mizantropijnem odosobnieniu od społeczeństwa. Wspomniawszy się światu w *Confessions* (1770), nie wchodził mu już w drogę; w zakresie zasad ogólnych wypowiedział już był wszystko, co miał wypowiedzieć: żyć już właściwie przestał — trwał tylko jeszcze. Utrzymywał się z pisania nut, jak w dawniejszej epoce po uzyskaniu obywatelstwa w Szwajcaryi; miał też pewien dochód z muzyki i niewielki z książek wydanych. Do tych dochodów przyłączyła się pensja stała od zacnego Keitha, 600 fr. rocznie wynosząca.

W drodze jeszcze do Szwajcaryi Rousseau ułożył swego *Lewite Efraimskiego*, opowieść prozą, z *Księgi sędziów* wyjętą; straszną przygodę, całego barbarzyństwa ludu wybranego dowodzącą, opisał stylem poetycznym; dziś jeszcze jest to utwór wybitny. W r. 1763 wydał *List do arcybiskupa Krzysztofa de Beaumont*, w odpowiedzi na *List pasterki*, w którym ten dostojnik kościoła potępił był *Emila*, — arcydzieło polemiki przyzwoitej, głębokiej a doweipnej. W roku 1764, zerwawszy już węzły obywatelstwa z Genewą, na żądanie członków Wielkiej Rady, która fanatycznemu objawowi *Lettres écrites de la campagne*, w obronie Rady Mniejszej, wykonawczej, napisanych, przeciwstawić pragnęła coś, coby w obronie praw rozumu, rzeczywistej miłości bliźniego, dobra powszechnego i tolerancji stało, napisał sławne swoje *Lettres écrites de la montagne*. Tu, poza sprawami genewskimi, obok zdań stwierdzających potrzebę religii państwowej, autor *Contrat social* głosi zupełne wyswobodzenie umysłów z pod nacisku powag uznanych, i podobnie jak w zakończeniu *Rozprawy o nierówności*, ale o wiele już jaskrawiej, ukazuje oczom współczesnych krwawy przedświt rewolucji francuskiej. Kat też spalił te *Listy* w Paryżu w roku ich ukazania się na świat (1765). W tym samym czasie przepowiadał rewolucję w jednym z listów swoich Voltaire. Dopelnieniem poglądów w *Lettres de la montagne* zawartych była maleńka

broszurka: *La Vision de Pierre de la Montagne* — przeciwko cudom skierowana. — Na tułactwie w Szwajcaryi nie przestawał Rousseau dorywczo opracowywać swojego *Dictionnaire de musique* (1767). Podczas pobytu na wyspie Ś-go Piotra spostrzeżenia botaniczne chciał zawrzeć w osobnym traktacie *Flora petrinularis*, którego jednak nie wykonał; o wiele lat później wydał rezultat badań botanicznych całego swego życia w *Lettres sur la botanique*, wydrukowanych w Paryżu. Nie mamy żadnego śladu, jak daleko doprowadził, dawniej jeszcze przedsięwziętą, *Historję kantonu Walijskiego* i kiedy ostatecznie pracy tej zaniechał. Ciekawa byłaby rzecz poznać Rousseau'a jako historyka.

Uwowa społeczna zjednała Rousseau'owi w całej Europie postępowej sławę pierwszorzędnego organizatora państwowego. Korsykanie, dla których w owym czasie ostatnia godzina wolności wybiła, wdzięczni za przychylną o nich wzmiankę w końcu X Rozdz. II, ks. pomienionego dzieła, najpierw go do siebie zapraszali, a później zażądali projektu konstytucji, któraby w upadającym organizmie nowe wzbudziła życie. Rousseau nie dał im konstytucji, ale w *Lettres sur la législation des Corses* dał radę jak mają urządzić swoje prawodawstwo. — Podczas konfederacji 1768—1772 r., jeden z jej uczestników autor polityczny, Michał Wielhorski, bawiąc w Paryżu w latach 1771 i 2 dla wyjednania pomocy i posiłków od Francji, nie umiemy powiedzieć, o ile z własnej pobudki, a o ile z upoważnienia generalicyi, zwrócił się do Rousseau'a z żądaniem planu niezbędnych reform. Biedny tułacz z ulicy Platrière, jak niegdyś Platon, nieposiadając żadnej władzy, miał być prawodawcą narodów. Wielhorski przedstawił mu memoriał, obejmujący rys nietylko politycznej organizacji i zamierzonych przekształceń, ale nawet obyczajów narodu, który z rozumu Rousseau'a miał skorzystać. Autor *Umowy społecznej*, podobnie jak poprzednio Korsykanom, odmówił i teraz napisania konstytucji, ale uwagi swoje nad tem, co było, i poglądy na to, co być powinno, w obszernem piśmie: *Considérations sur le gouvernement...* zawarł. Dziesięć lat oddzielało go od wydania *Umowy społecznej*; doświadczenie odjęło ostrość zasadom, które i tak jeszcze nigdy z bezwzględnością, jaką im w podręcznikach naukowych przypisują, wygłaszanymi nie były: w swoich *Considérations* Rousseau okazuje się nie tylko ostrożnym, ale nawet dziwnie zachowawczym; nie chce nie wywracać, pragnie tylko powolnie przekształcać i udoskonalać. W uznaniu całego trudu zadania mówi: „Bóg tylko rządzić może światem, a potrzebą więcej niż człowieczych zdolności, żeby rządzić wielkimi narodami.“ Poglądy jego zamykają się w ramach obrazu, jaki mu przed oczy postawiono, ztąd tylko bowiem wiedzę swoją, podstawę wywodów rozumowych, zaczerpnął. Dziwi go na wstępie to, że państwo tak zorganizowane, mogło istnieć tak długo; lecz w temsamem już znajduje rozwiązanie kwestyi: w owej dziwnej organizacji tkwi zarazem tajemnica dalszego jej bytu. Naród wydaje mu się, wobec powszechnej w Europie zgrzybiałości, młodzieńczym. Organizację jego dotychczasową w głównych punktach utrzymać potrzeba, ulepszając ją tylko stosownie do wymagań wieku i zepsutej natury ludzkiej. Władza królewska ma pozostać jak jest, tylko w miejsce królów wybieranych z cudzoziemców, należy obierać królów z samych krajowców. W miejsce konstytucyjnego dwoistego podziału kraju, wprowadza R. troisty zwyczajowy i dla trzech tak wyróżnionych całości ukazuje ideę federacji. W miejsce troistego podziału narodu, a raczej politycznie żyjącej jego warstwy, na osobne stany, wprowadza podział na szlachtę, mieszczaństwo i lud. Patrząc na wielkie urzędy, widzi ich jałowość i mnogość. Kasztelanów mniejszych usuwa z senatu i pozosta-

wia tylko wojewodów, kasztelanów większych i biskupów. W ten sposób składa senat z 89 członków dożywotnich, wybieralnych z wyjątkiem biskupów (ale nie arcybiskupa gnieźnieńskiego), których sam król ma mianować. Kasztelanów mniejszych i arcybiskupa gnieźnieńskiego wybierałby sejm. Sejm również przedstawiałby królowi do wyboru ministrów, zwłaszcza hetmana i podskarbiego, i jeden tylko kanclerz mógłby być wybieranym przez samego króla, bez żadnego ograniczenia. Liczbę członków sejmu należy pomnożyć; Rousseau jednak obawia się tu zbyt zdemokratyzowania władzy prawodawczej. Sejmy extraordinaryjne nie mają być ograniczane w czasie trwania; na sejmikach trzeba lepszy zaprowadzić porządek. Sejmiki wybierać będą dożywotnich wojewodów i kasztelanów, tak jak wybierają posłów i sędziów trybunału. *Liberum veto* samo w sobie nie jest złem: przypomina intercessję trybunów rzymskich, ale ją w zastosowaniu przekreśla. Ostatecznie jest to prawo nieszczęśliwe, i znieść je potrzeba. Zato utrzymuje Rousseau w pełni konfederację i sejmiki relacyjne, wraz rozburzającą ich zasadą, nawet ją jeszcze obostrza, ukazując zgrubny przykład Anglii, której reprezentacja istotnie za trzech pierwszych Jerzych dawała się przekupywać, niezostając pod żadną kontrolą wyborców. Odrębność szlachty od mieszczan i chłopów zniesiona w tem, że wszyscy zarówno podatek płacić mają, a z dwóch pierwszych stanów zaciagać się ma milicya, na wzór szwajcarskiej; szlachta wszelako nie przestaje być wyłącznie panującą w porządku politycznym, a lud nadal utrzymuje się w poddaństwie. Pięknie kreśli Rousseau ideał edukacji obywatelskiej — z tego co tu mówi, dziś jeszcze prawdziwie mówienie stanu krzyszczyby mogli. Wykształcony po trzech latach na obywatela jest kandydatem do wszelkich urzędów niesenatorskich i do sejmu, nazywa się *slugą państwa* i nosi na piersiach błachę złotą z napisem: *Spes patriae*. Kto trzy razy był deputowanym na sejm, na trybunał zwykły lub do komisji skarbowej w Radomiu, ten wchodzi na drugi stopień godności obywatelskiej, dostaje tytuł *Obywatela wybranego* i na blasze srebrnej napis: *Civis electus*; wszedłszy na ten stopień, staje się już kandydatem do senatu. Kto trzy razy przez Izbę deputowanych do senatu wybranym został, ten otrzymuje tytuł najwyższy *Stróża praw* (*Custos legum*), który-to tytuł na blasze stalowej wryty będzie. Ci najwyżsi obywatele do śmierci już tytuł ten i błachę, choćby nawet na tronie, zatrzymują. Z pomiędzy właśnie tych „Stróżów praw“ i zarazem wojewodów dożywotnich, wybierany będzie król. Los wyznaczy trzy nazwiska; sejm elekcyjny wybierze z nich jedno. — Oto główny zarys reformy zaprojektowanej w *Considérations*. Dodać do niego potrzeba oryginalny sposób pobierania podatku w formie dziesięciny z pól surowych ziem, zupełną proskrypcję pieniędzy, sądy egipskie nad umarłymi królami, zniesienie królewskiej, które już wówczas było projektowane w kraju, zabawy na wzór antycznych wyścigów konnych i t. p.

(Dokończenie nastąpi).

Sprostowanie.

W Nr 35 *Bluszczu* na str. 276, w utworze poetycznym *Dzieje wieczorne lasu*, w wierszu 44, zamiast mroczy, powinno być: *moczy*.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tytułem: *Kłamecy*.

TREŚĆ. Szkoła, przez Maryę Ilnicką. — Antoni Malezeski, życiorys, (dalszy ciąg), przez Wł. Chodźkiewicza. — Do..... (poetyka), przez Amy..... — Połacieżnicy, powieść (dalszy ciąg), El. Polko, tłóm. przez Ewelinę Kłoskowską. — Vanina Ornano, dramat, (dalszy ciąg), przez J. K. S. — Dwaj myśliciele francuzcy z XVIII wieku, (dalszy ciąg), przez S. K.